



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



WALKA GŁOWONOGA Z KRABEM.

Mięczaki zwane głowonogami z powodu nóg czyli ramion, wyrastających z ich głowy, które chwytają swą zdobycz, dały powód do bajecznych podań o olbrzymich nieistnie-

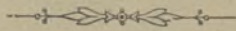
jących wcale potworach wodnych. Dziś już niema wątpliwości co do ich natury, skoro udało się złowić kolosalne podobne zwierzęta, które jednym machnięciem olbrzymich swych ra-

mion wywracają łodzie i grożą większym nawet statkom. Podróżni i przyrodnicy podają nam różne wypadki rzadkiego zresztą spotkania z niemi, dotąd wszakże nie umieją stanowczo określić, czy stanowią one odrębną rodzinę, czy też dochodzą z wielkiem do tak wyjątkowych rozmiarów.

O objętości ich, nie licząc już długości ramion, może nam dać pojęcie zdarzenie że spoczywającego nieruchomo głowonoga, wzięli raz rybacy za łąd dość rozległej wysepki, na której mieli już zamiar noc przepędzić, gdy nagle masa ta czarniawa poczęła się ruszać i niebawem zanurzyła się całkiem.

W 1680 roku, na wybrzeżu Norwegii, uwiązał podobny okaz między skalami nieco wyższego fiordu i objętością swoją wypełnił zatokę, ramionami zaś uczepiwszy się pni drzew nadbrzeżnych powyrywał je z korzeniami.

Jeżeli teraz obok tej niezmierniej ich wielkości, uprzytomni sobie, że wszystkie głowonogi są żarłocznymi rabusiami, że odbierają życie innym, nie tylko już dla zaspokojenia głodu, ale przez jakiś dziki popęd do mordu, to pojmujemy jak częste i straszne walki broniących się i napadniętych, zakrywają nam morskie głębiny. Jeden z takich wypadków widzimy właśnie na rycinie naszej, przedstawiającej obronę kraba, napadniętego przez głowonoga. Na czyją stronę przechyli się ostatecznie zwycięstwo, nie trudno zgadnąć, bo już liczne ramiona mięczaka, jakby tyleż strasznych węzłów, otoczyły twardą skorupę swej zdobyczy.



NAJWIĘKSZA RZĘKA W EUROPIE.

Żadna z rzek europejskich nie może dorównać długości olbrzymim rzekom, jak Nil, Missisipi, Amazonka, Jan-tse-Kiang, Jenisej i t. d. które w innych częściach świata płyną. Pochodzi to stąd, że Europa jest nierównie mniejszą od Azji, Afryki i Ameryki, że zatem nie może w niej być tak rozległych przestrzeni ani rzek. Jednak największa rzeka w Europie *Wołga*, ma 3295 wiorst długości i wśród rzek całego świata zajmuje czternaste miejsce.

Wołga przepływa wśród wielkiej równiny Rossyjskiej i toczy do morza Kaspijskiego olbrzymią masę wody, której dostarcza jej wielka ilość, bo około dwustu, dopływów. Początek swój bierze u stóp wzgórz Wałdajskich. W pierwszej części swego biegu płynie w kierunku wschodnim, kręcąc się jednak w tę lub ową stronę. Koło Kazania, spotkawszy odnogi gór Uralskich zwraca na południe i płynie w tym kierunku dość prosto, tworząc tylko wielki łuk pod Samarą, aż do Carycyna. Od tego miasta rozdzieliwszy się na kilka rękawów, z których jeden, zwany Achtubą, płynie równolegle, niby oddzielna rzeka, skreca na południo-wschód i wielką deltą wpada do morza Kaspijskiego.

Bieg jej jest równy, bez wielkich mielizn, z wyjątkiem piaszczystego ujścia, tak, że bez trudności służyć może, jako doskonały środek komunikacyjny w czasie letnich miesięcy, gdy wolną jest od lodu.

Prawy brzeg ma wyższy nieco, lewy zaś, niższy, podlega częstym zalewom. Dodatnią jej cechą jest także obfitość ryb, z których jeden gatunek, zwany sterleć, odznacza się doskonałym smakiem i jest bardzo cenionym.

Nad brzegami Wołgi zdawna zamieszkały plemiona fińskie, Mordwińce, Czeremisi i inne. W IX wieku osiedli tam Chazarzy czyli Bulgarzy, którzy utworzyli dość silne państwo i często wojowali z wielkim księciem kijowskim. Powoli je-

dnak osiadali w okolicach Wołgi Wielkorusi, kolonizując wielkie przestrzenie, zajmowane przez dzikie stosunkowo ludy.

Postęp kolonizacyjny Wielkorusów został w XIII wieku wstrzymany przez najście Mongołów, którzy podbili wszystkie udzielne księstwa ruskie i utworzyli trzy państwa czyli ordy: Kazańską, Astrachańską i Krymską. Dopiero w połowie XVI wieku, car Moskiewski, Iwan IV Groźny zdobył Kazań i Astrachań, i tym sposobem stał się panem całego biegu Wołgi.

Od tego czasu kraje nadwołżańskie zaczęły się coraz bardziej zaludniać; powstawały miasta, ożywał się ruch spławny, i obecnie Wołga jest niezmiernie ważną arterią komunikacji i handlu między Petersburgiem i środkiem Rosyi, a wschodniemi jej częściami, Średnią Azją i Persją.

Kilka kanałów łączy górny jej bieg z rzekami wpadającymi do jeziora Ładożskiego i Oneżskiego, tworząc w ten sposób nieprzerwaną komunikację wodną z Nową i morzem Bałtykiem.

Najważniejsze miasta, leżące nad brzegami Wołgi, są: Rybińsk, główny punkt handlu drzewem, Niższy-Nowogród przy ujściu Oki, gdzie corocznie odbywają się olbrzymie jarmarki, Kazań, poniżej którego wpada największy dopływ Wołgi, Kama, dalej Saratów, Samara, Carycyn i Astrachań. Od Rybińska do Astrachania, czyli na przestrzeni około 2,500 w. kursują po Wołdze bardzo wygodne i pięknie urządzone statki parowe.

A. z Ch. Bozkowska.

PANNA MARYCHNA Z OPOROWA.

(Ciąg dalszy).

Nikt tego nie wiedział, a jednakże wszyscy chcąc się ratować rozpowiadać jeli niestworzone dziwy o tej walce i wskazywać drogę, którą się udali zwycięzcy. Około południa więc z rozkazu komtura, ci którzy powrócili, wyruszyli na nowo, prowadząc za sobą świeży zastęp żołdaków. Zaledwie jednak dojechali na miejsce wczorajszej walki, spotkali ich powracający ze swej wyprawy Zygryd, mówiąc, że przetrząsnął daremnie całą puszcę na kilka mil wokoło. Ostudziło to ich zapał, lecz nie śmieli powracać więc ruszyli dalej, Zygryd zaś zabrawszy rannych i ciało Gwalberta, pościągął do Sthumu.

Ulrych zżymał się znowu, lecz mając dowody, że z narażeniem życia chciano spełnić jego rozkazy, ułagodził się trochę. Pomyślał zresztą, że nowo wysłani ludzie lepiej się sprawią w swych poszukiwaniach, niż ci, którzy strudzeni byli najpierw walką, a potem całonocną tułaczką. Zresztą wiadomość o nadciągających wojskach królewskich nie pozwalała mu wydalić się samemu z zamku, więc godzić się musiał z koniecznością i poprzestać na obcych usługach.

Gdy wojewoda zmiarkował, że ludzie jego dość już użyli wczasu, dał znak aby iść dalej, czem uradował się bardzo Jaśko, który nie mógł dosiedzieć na miejscu, rad co prędzej iść na dalsze poszukiwania. Ruszyli więc w las drożyną więcej przerzedzoną z gąszczu, który tamował co krok inne ścieżki, dociągnęli tak, o ile im się udało do środka puszczy nie napotykając nic, coby ich naprowadzić mogło na ślady poszukiwań. Droga poszerzyła się wkrótce i zdało im się, że tym razem dotarli do gościńca, który wiódł do Torunia.

— A kto wie — rzekł wojewoda — my tu bijemy się po omacku z żaloszniemi myślami, a może syn mój i pani Oporowska już wywiedli się szczęśliwie z puszczy i przy pomocy Bożej są w Toruniu?

Słowa te dodały otuchy wszystkim i uradzono, ażeby spieszyć dalej drogą, u końca której czekała może pociecha. Podążyli więc naprzód i nad wieczorem wydostawszy się z puszczy, ujrzeli przed sobą wieże i wały miasta.

W miarę, jak się zbliżali, otucha, która wstąpiła w serce wojewody, poczęła słabnąć. Ogarnął go srogi niepokój, azali zastanie w domu syna i jego towarzyszkę. Zwolnił kroku, minawszy bramę i niepewny wstępował w progi swego dworca.

— Michał powrócił? — zapytał zdławionym głosem wybiegającą na jego spotkanie żonę, a usłyszawszy przeczącą odpowiedź, osunął się przygnębiony na ławę, podczas, gdy wojewodzina, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, łamała ręce z rozpaczą. Po chwili wszakże oprzytomniał, czując, że działać potrzeba. Uspokoił najpierw żonę i przykazał, aby wieść o jego powrocie nie rozeszła się, a sam postanowił ruszyć w dalsze poszukiwania.

Jaśko jakkolwiek bardzo strapiiony omyloną nadzieją, zauważył jednakże, że lepiej doczekać świtu, bo i cóż podobają w ciemnościach wśród gąszczów leśnych? A gdy i pani wojewodzina czuła słuszność tej uwagi, musiano pozostać i pokrzepić siły wczasem,

Zaledwie świtać zaczęło, cały oddział ruszył w pochód, podczas, gdy pani wojewodzina poszła wysłuchać Mszy zakupionej w pobliskim kościele za pomyślny skutek powtórnej wyprawy.

Początek jej też dobrze się zapowiadał, bo spotkano oddział wojsk królewskich, spieszących do Sthumu i połączono się z nim w nadziei, że w większej liczbie łatwiej będzie odnaleźć zaginionych. Jakoż, gdy wojewoda opowiedział wszystko dowódcy, ten przystał wraz z nim przepatrzyć puszcę zanim podąży do zamierzonego celu. Wykrycie nowej zbrodni krzyżackiej, stwierdzonej przez wiarogodnych świadków i wyzwolenie zacnej, znanej powszechnie w okolicy niewiasty bardzo się uśmiechało młodemu, pełnemu rycerskiego animuszu, Chwalisławowi ze Skrzynna, mniemał przede, że nie przekroczy danych mu rozkazów, jeżeli przez to opóźni o godzin kilka szturm do zamku. Wojsko swe, połączone z hufcem zbrojnych wojewody, rozdzielił na trzy części, aby każda z nich zwolna przetrząsnąć mogła puszcę w innej stronie.

— Inna to rzecz — mówił — iść samotnie przed siebie, a inna znaleźć się naraz w kilku różnych stronach i w ten sposób prędzej coś wskóramy.

— Niech Bóg wam wynagrodzi otuchę, jaką we mnie wlewacie — rzekł z westchnieniem wojewoda, może też poszczęści mi się lepiej z waszą pomocą...

Rozdzielili się potem. Wojewoda pojechał na czele jednego oddziału, Chwalisław ze Skrzynna poszedł z drugim w najgęstsze zarośla, a Jaśko, drżąc z niecierpliwości, uczeplił się trzeciego, który wężykowatą drogą piał się po strzelistych leśnych urwiskach.

Michał tymczasem wraz z panią Oporowską i opryskiem, który im służył za przewodnika, gdy już zmierzchać poczęło, dociągnął do opustoszałej na wpół w ziemię zapadłej chatki pustelnika, który kiedyś przed laty zamieszkał w puszczy. Nieco opodal na skalnem wzgórzu stał krzyż z wizerunkiem Zbawiciela, wzniesiony pobożnymi rękami zmarłego już starca. Na ten widok uczucie nieznanego dotąd spokoju wstąpiło w serce pani Hanny. Zdało jej się, że u stóp tego krzyża nowych sił nabierze w swej ciężkiej roli.

Michał radował się widząc, że przy zapadającym zmroku strudzona niewiasta spocznie w chatce, jakoż namówił ją, aby spróbowała zasnąć w opustoszałej izdebce, gdzie znalazł się na posłanie spory zapas suchych liści. Sam postanowił czuwać w progu, pilnując bacznie swego przewodnika, któremu pozwolił położyć się opodal na murawie, nie zwalniając jego więzów. Sądząc słusznie, że dymu niepodobna było dostrzedz zdala w gęstym lesie, za pomocą krzesiwa rozpalil ognisko, aby odstrążyć dzikie zwierzęta i nie pozostawać w ciemności.

Niezadługo słyszeć się dało chrapanie opryska. Michał wszakże niedowierzał, azali naprawdę zasnął i nie spuszczał go z oczu. Panią Hannę także sen zapewne zmorzył, głucho więc było dokoła i czasem tylko, przerywał ciszę łomot przemykającego w oddali zwierza. Świeciły tu wśród liści drzewnych jak żarzące węgle oczy rysiów, uczeplonych tu i owdzie gałęzi lecz nie śmiejące się zbliżyć do ogniska. Młodzian, zahartowany w służbie żołnierskiej, mimo wytrwałości nielada, był wszakże znużonym bardzo i opierał się z trudnością ogarniającej go senności. Nogi się pod nim uginały, lecz postanowił czuwać oparty o drzwi chaty.

Zaczął najpierw odmawiać pobożnie różaniec, wpatrując się jednocześnie w uśpionego opryska i ciemną głąb puszczy. Pozostawał tak godzin kilka, wreszcie znużenie wzięło górę. Stał zawsze nieruchomy, lecz nie widział już tego, co go otaczało, a przed jego oczyma przesunęły się inne dziwne i fantastyczne obrazy.

Zdało mu się, że ogień wygaś, a natomiast jasne promienie wyzierającego z poza chmur księżyca, oświeciły blade i znękanе oblicze Chrystusa, rozpiętego na pobliskim krzyżu. Wpatrywał się w nie, wzdychając żałośnie nad srogą męką Pańską i widział wyraźnie, jak Boskie oczy spozierały na niego nawzajem z wielkim smutkiem i litością. Zadrżał sam w sobie od tego przenikającego na wskroś spojrzenia, lecz poruszyć się nie mógł, jak gdyby przykuty do ziemi. Nagle ciemne jakieś postacie wychyliły się z gęstwy leśnej i wyszły na polanę posuwając się ku niemu z cichym szelestem. Patrzył na nie z przerażeniem i grozą, lecz nie mógł ściągnąć zmartwiałej ręki do szabli, a one sunęły coraz bliżej i rozpoznal w nich w końcu knechtów krzyżackich, wysłanych zapewne w pościgu za uwieczoną. Chrapliwy okrzyk wydarł mu się wtedy z piersi i rozbudził się wreszcie. Postąpił kilka kroków naprzód, dobywszy miecza, lecz nie widział już nic przed sobą i poznał, że wszystko było sennem złudzeniem. Ogień tylko przygaś, a świt już blade wysuwał się na niebie. Zrozumiał, że musiał tak prześnić długi przeciąg czasu więc dorzucił najpierw suchych gałęzi do ogniska, a gdy płomień wybuchając, oświecił znów wszystko, pobiegł do sosny, pod którą spał więzień, ale dostrzegł wtedy z najwyższym przerażeniem, że więźnia już nie było.

Nie tracąc czasu z dobytym mieczem pobiegł przetrząsnąć zarośla, bo jakkolwiek mniemał, że musiało mu się udać rozluźnić więzy, aby powstać, niepodobnem było, aby uszedł daleko. Wołał go przytłumionym głosem obiecując słowem rycerskim, że uderuje go wolnością i hojnie obdarzy jeżeli powróci i wskaże mu drogę do Torunia, lecz wszystko było daremne, opryszek albo uszedł dalej, albo też nie odzywał się, ukryty gdzieś bezpiecznie, zanim, gdy się rozwidni, pójdzie odszukać towarzyszy. A jeżeli ich odnajdzie niezadługo, myślał Michał, i namówi aby z nim razem powrócili zemścić się na obcym, który go pojął w niewolę? Mniejsza już o niego, bo nie lęka się i całego zastępu zbójów, lecz cóż poczniesz z panią Oporowską, która teraz spoczywa bezpiecznie? Jakaż będzie zresztą jej boleść i trwoga, gdy się dowie o tem co zaszło? Jakże ją uspokoić zdoła i trafi na właściwą drogę, nie znając tej puszczy? Cała nadzieja w bliskim już świtanu, bo w biały dzień łatwiej uniknąć niebezpieczeństwa i obmyśleć jakiś ratunek dla zacnej pani, albo wreszcie zginąć w jej obronie. A teraz musiał do niej powrócić śpiesznie, skoro niepotrzebnie już odszedł tak daleko.

Dym płonącego ognia, wśród którego iskry przebłyskiwały, był mu drogowskazem i wkrótce powrócił na miejsce gdzie nowe czekało go przerażenie... Drzwi chaty były uchylone, a pani Oporowskiej już w niej nie było.

— O Boże wielki! — zawołał zwracając oczy na krzyż, z kąd mu spłynąć mogła jedynie pociecha, ratuj mię w tej ciężkiej przygodzie, dopomóż bronić krzywdy wdowy i sieroty!

Zaledwie wyrzekł te słowa jak gdyby w nich tkwiła moc tajemnicza, pani Oporowska zjawiła się przed nim.

— Zaczny młodzieńcze — rzekła — niech błogosławieństwo nieba spoczywa nad tobą za pomoc niesioną w najcięższej przygodzie; dość już zażywszy wczasu, zwłaszczą, że świ-

tać poczyną, chciałam cię nakłonić, abys z kolei spoczął chwilę. Nie znalazłszy cię zaś, równie jak i naszego więźnia, strwożona o losy twoje, podeszłam dalej, czyniąc poszukiwania.

— A ja się przeraziłem bardzo, nie zastawszy was — rzekł Michał, uradowany odnalezieniem towarzyszek. — Jeżeli tylko wasza miłość nie obawia się iść za mną na los szczęścia, skoro już nie mamy przewodnika — dodał wahając — możemy się puścić w dalszą drogę.

Ale pani Hanna dzielna była niewiastą, jakkolwiek zapas sił jej mógł się wyczerpać długą niewolą, zamiast więc, jakby uczyniła inna na jej miejscu płakać i lamentować nad ucieczką więźnia, jęła pocieszać strapionego młodzieńca, dodając mu otuchy tem, że krzyżacy ścigać ich już nie będą,

knechtów krzyżackich... Groza położenia powróciła mu przytomność, dobył miecza i pochwycił rękę swej towarzyski, aby ją wprowadzić do chaty. Był czas po tem, bo zaledwie zdążył drzwi zatrzasknąć, zastęp żołdaków Ulrycha rzucił się na niego z dzikim okrzykiem. Prowadził ich opryszek, którego spotkali w lesie i wyzwolili z więzów. Gdy im opowiedział jak w nie popadł, postanowili zaraz za jego pomocą odnaleźć swą brankę i zaofiarowali mu sutą nagrodę gdy ich doprowadzi do chaty pustelnika. Rabuś zawahał się trochę, bo wołał powrócić do swoich, lecz zaczęli mu grozić nowem uwięzieniem, a nadto jeszcze gniewem komtura w którego ręce nie rad był popaść, chcąc nie chcąc więc poprowadził ich tam, zkąd przyszedł.

Michał stanął u zapartych drzwi chaty w postawie tak



Zwaliska Bodzentyna.

sądząc, że mieli dość czasu, aby ująć ich pogoni, rabuś zaś, wiedząc, że z Michałem nie łatwa sprawa, wydostawszy się na wolność, nie rad będzie powracać choćby w gronie innych zbójców. Nie prędko ich zresztą odszuka, bo nie mógł ująć daleko, mając ręce spętane. Na drogę też właściwą przy pomocy Bożej może i trafi sam, idąc wprost przed siebie.

Uwagi te trafiły do przekonania młodego rycerza, tem więcej, że dzień się już zrobił na dobre i cała puszcza rozbrzmiewała głosami leśnego ptactwa, witającego wschód słońca. Pokrzepieni nadzieją, wędrowcy zabierali się do drogi i ukłękli tylko jeszcze, aby odmówić wspólnie ranne pacierze. Pani Hanna zakryła twarz zroszoną łzami, Michał zaś wpa- trywał się w oblicze Chrystusa i zdawał mu się, że widzi w nim znów, jak w owym śnie strasznym, jakiś rzewny i li- tośny wyraz. Mimowolnie też, obejrzał się dokoła, lecz o dziwy, sen znów stanął mu widocznie przed oczyma, bo z za skały, na której krzyż się wznosił pojawiły się postacie w szarych opończach... Zerwał się, przetaił oczy, lecz widzenie nie znikło... Postacie przesuwaly się ostrożnie wśród krzaków, i gdy się zbliżać poczęły rozpoznał w nich wyraźnie

groźnej, że zbójceka zgraja, lubo w przeważnej liczbie, nie śmiała do niego przystąpić.

— Pierwszy kto na mnie podniesie rękę, zginie — zawołał.

Rabuś, który już doświadczył jego siły i zręczności, cofnął się mimowolnie, wyprzedził go wtedy jeden ze śmielszych towarzyszy, zaledwie wszakże zdołał cios wymierzyć, miecz wypadł mu z okaleczonej ręki.

— Do kroćset dyabłów — krzyknął, tamując krew, broczącą silnie, połą od opończy — no ruszajcież pomścić mą krzywdę, niezdary!

— Strzeżcie się — zawołał znów groźnie Michał i począł wywijać takiego młyńca szablą, że tłum, który się na niego rzucił, cofnąć się musiał, zostawiając na placu boju kilku z rozplatanymi głowami.

Michał biegły w rycerskim rzemiośle uczuł wtedy, że powstrzymać przynajmniej czas jakiś potrafi tę hołotę, znużoną całonocnym pochodem, więc nabrał lepszej otuchy i czekał spokojnie powtórnego natarcia. Ale żołnierzom



Co śpiewu, co gwaru w powietrzu w około!
Co blasków nad nami, w błękiciel
Na niebie pogodnie, na ziemi wesoło,
Hej! lato-ż bo, lato w rozkwiecie!

Gdzie spojrzeć, coś kwitnie
Różowo, błękitnie...
A to znów — czy żywe są kwiaty?...
To spocznie, to leci,
A błyszczy, a świeci —
Motyli rój barwny, skrzydlaty.

O! różę wiatr strącił i rozwał jej płatki,
Tam — lecą w powietrzu przez chwilę.
Doprawdy, motyle to żywe są kwiatki,
A kwiatki — to istne motyle!

nie łącno śnać było zaczepiać go powtórnie, bo zaczęli się naradzać.

— Nie dacie mu rady — rzekł zcicha jeden z rannych — niech który z was lepiej co tchu biegnie do Sthumu i sprowadzi pomoc.

— Co znowu — zawołał szydząc opryszek — czy nie wstyd wam tamecznych ludzi, że nie możecie dać rady jednemu i nie strach komtura Ulrycha, a toćby was kazał powywieszać chyba...

— Może on mówi prawdę — ozwał się inny — musimy sami nadstawić karku. Ale i wy pójdziecie z nami — dodał, zwracając się do rabusia.

— Nie mam miecza — odparł tenże niechętnie, spoglądając z ukosa na młodego rycerza.

— O cóż łatwiej, jak o to, a to bierzcie który z tych co wypadły z dłoni rannych. Ten np. — dodał popychając nogą jednego z pozostałych na placu boju — już się chyba o własność swą nie upomni.

— Oho! — odparł opryszek, podejmując miecz z niechęcią — chce wam się koniecznie zasłonić cudzą skórą choć was kilkunastu przeciw jednemu.

— Ależ kiedy ten jeden jest wcielonym dyablem.

— Dyablem? — powtórzył wesoło rabus, ucieszony snąc jakimś nowym pomysłem — a więc smażyć go w ogniu. Hej obłożyć mi w mig tę chałupę suchym chrustem z przeciwnej strony, ogień i tak w swoim czasie dojdzie do tego walecznego rycerza i zobaczymy wtedy, czy rad będzie w swym żywiole.

Usłyszawszy to, Michał zrozumiał, że niema już nadziei ratunku i zanim stos zapłonął, rozmyślał, czy ma prawo narażać życie tej, którą chciał ocalić? Wsparty na mieczu, patrzył wszakże groźnie, nie okazując swej obawy i czekając jeszcze chwili, w której chrust podpalą, abyś coś stanowczego przedsięwziął.

Przerwała mu zadumę pani Oporowska, która nie chcąc narażać dłużej swego mężnego obrońcy ukazała się w uchylonych drzwiach chaty.

— Posłuchajcie mnie — rzekła wolno i dobitnie, zwracając się do żołdaków. Zaprzestańcie daremnej krwi przelewu i puśćcie spokojnie tego rycerza, sama pójdę z wami do Sthumu. Wszak chodzi wam o to jedynie, aby mnie pochwycić.

(d. c. n.)

Zwaliska Bodzentyna.

Początek Bodzentyna, tak zwanego od biskupa Bodzanty, miasta położonego w guberni radomskiej, powiecie opoczyńskim, dalekiej sięga przeszłości. Spalone około r. 1410 miało sobie dane wyjątkowe przywileje, co przyczyniło się głównie do szybkiego podniesienia go z gruzów; kardynał Zbigniew Oleśnicki zniszczony pożarem kościół wspaniale odbudował. Bodzentyn jednak zakwitł dopiero handlem w końcu XVI-go stulecia, stając się głośnym z sądów biskupich, utworzonych dla zapobiegania szerzeniu się reformacji religijnej. Ostatni z zamieszkujących to miasto biskupów krakowskich, był Kajetan Sołtyk, który miał tu swój dwór. Pamiątką dawnej jego świetności pozostały zwaliska zamku, przedstawione na naszej rycinie. Pałac ten był niegdyś ogromnym gmachem trzypiętrowym, wystawionym w końcu XVI-go wieku, a w późniejszych czasach powiększonym i przyozdobionym. Stylem architektury swojej przypominał on budowę królewskiego zamku w Krakowie. Gmach ten do końca zeszłego stulecia w mieszkalnym jeszcze był stanie; po odebraniu go biskupom krakowskim zajęty na szpichlerz, następnie obrócony na szpital wojskowy, wreszcie opuszczony, popadł w gruzy. Tuż obok pozostałych po nim murów, wznosi się kościół, zbudowany przez Oleśnickiego r. 1452, pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, który dziś jeszcze po

gruntownem odnowieniu, dokonaniem w r. 1853, zaliczyć można do najpiękniejszych świątyń w kraju. Najważniejszym zabytkiem tego kościoła jest ołtarz składany, fundacji biskupa Konarskiego w r. 1515, pod względem sztuki piękne dzieło malarskie jakiegoś znakomitego a nieznanego z nazwiska artysty z końca XV-go wieku.

SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Wreszcie 4 października stan powietrza uległ pożądanej zmianie; silny wichur zmieniwszy się nagle na północno-zachodni, cichł powoli; wzburzone morze poczęło się uspokajać, a pod pogodnym sklepieniem niebios, Halbran mógł znowu rozwinąć swe skrzydła do równego i prawidłowego lotu.

W kilka dni potem ciesząc się ustaloną wreszcie pogodą, siedziałem właśnie na pokładzie, gdy kapitan Len Guy zbliżył się do mnie, siadł obok na ławce i przemówił głosem mniej przyciszonym jak zwykle:

— Już od dłuższego czasu nie miałem przyjemności pomówienia z panem...

— Rzeczywiście, kapitanie, miałbym prawo skarżyć się na to — odpowiedziałem, na wół żartem, wół seryo.

— Proszę mi wybaczyć! Tyle trosk, tyle obowiązków spadło na mnie. Ułożyć cały plan podróży, nie nie zaniedbać, wszystko przewidzieć. Przyznasz pan, że było nad czem pracować przez te parę tygodni...

— Rozumiem to dobrze, kapitanie, i w gruncie rzeczy nie mam urazy żadnej...

— Bardzo mię to cieszy, bo odkąd miałem sposobność poznać pana i ocenić, mogę sobie tylko powinszować, że byłeś pasażerem na mym statku.

— Wdzięczny jestem za to, co uczyniłeś pan dla mnie, a słowa pańskie zachęcają mię...

Sądziłem, że chwila była sposobną do wyjawienia kapitanowi mego zamiaru. Len Guy wszakże zagadnął mię w tejże chwili.

— Więc masz już teraz, panie Jeorling, ustalone zdanie co do podróży Oriona i dzieła Edgarda Poe?...

— Bez wątpienia, kapitanie! Dawno uznałem wszystko za zupełnie prawdziwe, i życzyć tylko mogę, aby ci niebo błogosławiło w odszukaniu biednych rozbitków.

— Jest to jedynym pragnieniem mej duszy, oraz celem najtrudniejszych w życiu zabiegów — i, jak Bóg wielki, muszę tego dokazać! — zawołał z wielkiem przejęciem Len Guy.

— Mam wszelką nadzieję, a nawet pewność, że usiłowania pańskie nie będą próżne i jeśli się pan zgodzisz?...

— Czy nie miałeś pan wypadkiem sposobności, rozmawiania na Tristan z jakimś Glassem, ex-kapralem, który nazywa się chętnie gubernatorem wyspy? — zagadnął kapitan, przerywając mi po raz wtóry rozpoczęte zdanie.

— Poznałem go rzeczywiście — odparłem — i to, co mi opowiedział ten człowiek, przyczyniło się niemało do rozproszenia reszty wątpliwości, odnośnie do faktów opisanych przez Artura Pryma.

— A o czemże on panu mówił?

— Glass przypomina sobie najdokładniej Oriona, gdy jedenaście lat temu zatrzymał się w przystani.

— Więc znał może i mego brata?

— Wspominał o nim z wielkiem uznaniem.

— Może utrzymywał z Orionem stosunki handlowe?

— Tak samo, zdaje się, jak obecnie z Halbranem.

— To Orion stał wtenczas w przystani Falmouth-bey?

— Podobno właśnie na tem samem miejscu, które zajmował niedawno twój żaglowiec, kapitanie.

— I kogoż więcej z załogi znał jeszcze Glass, oprócz mego brata?

— Mówił mi o Arturze Prymie i Dick Petersie. Utrzymywał, że Prym był śmiałym, gotowym się ważyć na wszystko, awanturnikiem.

— Powiedz pan raczej, szaleńcem, niebezpiecznym szaleńcem! — zawołał kapitan. — Bo czyż to nie on właśnie pchnął mego brata w tę nieszczęsną podróż?

— Możemy powziąć to przekonanie, sądząc z własnych słów jego.

— I nie zapomnieć o tem nigdy! — dorzucił Len Guy silnie wzburzony. — Czy mówiłeś pan byłemu kapralowi co się z nim stało?

— Nadmienilem o jego tajemniczej śmierci. Ten Glass znał również Watersona, jako starszego oficera na Orionie.

— Zaczny to był człowiek, serce złote, doskonały, wypróbowanej odwagi, marynarz! Był on duszą całą oddany memu bratu...

— Jak Jem West oddany jest tobie, kapitanie.

— Dla czegoż trzeba nam było znaleźć jego martwe już zwłoki na tym lodowcu! — rzekł z głębokim westchnieniem Len Guy. — A czy Glass wie, jaki jest los pozostałych — zapytał po chwili milczenia.

— Powiedziałem mu historię całą, wspomniałem również, że niezawodnie pospieszysz im pan z pomocą.

— Chciałem cię zapytać, panie Jeorling, czy sądzisz, że wszystko jest dokładne i nie podlegające kwestyi żadnej, co Artur Prym opisuje?

— Zdaje mi się — rzekłem po chwili namysłu — że biorąc w rachunek szczególne usposobienie autora, można niejedne fakta podać w wątpliwość pewną. Pisz on np. że cała załoga Oriona zginęła w dolinie Klock-Klock, gdy...

— Ależ on tego nie twierdzi, on przypuszcza tylko, że tak być mogło, że tak być musiało, sądząc ze skutków katastrofy. A o taką pomyłkę nie możemy mieć do Pryma pretensyi żadnej, sam to pan przyznać musisz.

— Rzekęciwiście, wszelkie pozory mogły go na taki domysł wprowadzić.

— Lecz mamy teraz pewność z notatek Watersona, że brat mój i pięciu jego towarzyszy uszło szczęśliwie śmierci.

— Tak jest, kapitanie, mamy tę pewność, jakkolwiek Waterson nie wspomina nic w jakich warunkach oni tam żyją, ani jakim sposobem on sam uniesiony został na lodowcu.

— O tem dowiemy się kiedyś, panie Jeorling, tak jest, dowiemy się niezadługo, skoro tylko mamy raz już to przeświadczenie, że oni tam na wyspie Tsalal żyją jeszcze...

— Kapitanie — zagadnałem wreszcie — czy przyjmiesz mię za towarzysza, aż do końca zamierzonej twej wyprawy po wodach antraktycznych?

Len Guy objął mię byстрыm swym wzrokiem, jakby mię na wskroś chciał przejrzeć. Nie zdawał się jednak bynajmniej zdziwionym przedstawioną sobie propozycją, przeciwnie, sądzić mogłem, że raczej spodziewał się jej nawet. Po krótkiej też chwili rzekł tylko to jedno słowo:

— Jak najchętniej!

Przygotowania do podróży podbiegunowej.

W równoległoboku, którego długość od wschodu na zachód wynosi 65, a szerokość od południa na północ 40 mil morskich, pod 60° 10' i 64° 30' długości zachodniej, a 51° i 52° 45' szerokości południowej, leżą dwie wielkie wyspy i mnóstwo drobnych wysepek, które razem nazwane zostały Falkland albo Maluniu, a które o 300 mil od cieśniny Magelańskiej, tworzą jakoby ostateczny punkt granicy między Atlantykiem a Oceanem Spokojnym.

W 1592 r., Anglik, Jan Dawis, pierwszy nazначzył ich

istnienie. Zwiedził je następnie ziomek jego Hawkins, trudniący się rozbojem morskim, a w 1689 r. żeglarz angielski Strong, nadał im nazwę Falklandów.

Cały wiek później usunięci z Kanady Francuzi, utworzyli przy tym archipelagu miejsce spoczynku dla okrętów, kursujących pośród wód okolicznych. Ponieważ zaś osadnicy ci w liczbie około stu kilkudziesięciu, byli przeważnie korsarzami z Saint-Malo, przeto niezależnie od dawnej nazwy w 1763 r. stojąc pod wodzą Bougainville'a, przewali nową swą ojczyznę Maloninami.

Niebawem dobrobyt zakwitnął w kolonii, co zwróciło uwagę państw europejskich. Najpierw wystąpiła Anglia ze swemi pretensjami i zajęła przystań Port-Egmont, następnie Hiszpanie drogą ugodową nabyli od Ludwika XV-go prawo opieki nad wyspami, lecz już w 1833 r. wrócili znowu Anglicy i ze swą zadziwiającą zdolnością wywłaszczania, stali się wkrótce panami Falklandów.

Sześć lat też zaledwie upłynęło, odkąd archipelag przeszedł pod rząd brytański, gdy 16 października żaglowiec nasz zarzucił kotwicę w Port-Egmont, znajdującym się w północnej stronie wyspy West-Falkland, która wraz z nieopodal leżącą East-Falkland albo Soledad, stanowią największe ziemie tej grupy.

Zaraz dnia pierwszego kapitan Len Guy zwolnił od obowiązków na 12 godzin całą swoją załogę, bo już nazajutrz czekała ją praca około odpowiedniego wzmocnienia statku. Również bez zwłoki żadnej, zeszedł on sam na ląd, by zawiązać stosunki z miejscowym, przez królową angielską mianowanym gubernatorem, który okazał się nadzwyczaj uprzejmym, obiecując mu swą pomoc we wszystkim, czego by tylko zapotrzebował.

Mimo jednak ogólnego ruchu przez tych kilkanaście godzin, Halbran nie był zupełnie bez opieki; czuwali nad nim Jem West i Hurliguerli, a obowiązkowy poręcznik nie spoczął ani na chwilę, przeglądając z drobiazgową uwagą cały spód okrętu.

Co do mnie, postanowiłem dopiero na drugi dzień wyładować, nie miałem bowiem nic nagłego do załatwienia, a na zwiedzenie wyspy i badania naukowe, aż za wiele jeszcze bodaj pozostawało mi czasu.

Nie zaniedbał też korzystać z mej obecności zawsze chętny do rozmowy bosman.

— Moje najszczerze powinszowania, panie Jeorling! — rzekł, zbliżając się do mnie.

— Z jakiej okazji, bosmanie?

— Właśnie dowiaduję się, że jedziesz pan z nami, aż do krańców morza antarktycznego.

— O, nie tak daleko znowu! O ile wiem, mamy dosięgnąć tylko 84-go równoleżnika.

— Niechże i tak będzie! W każdym razie Halbran przepłynie pewno więcej stopni z szerokości ziemi, aniżeli ma łokci płótna w swoich żaglach.

— O tem przekonamy się dopiero...

— I to pana nie przestrasza?

— Bynajmniej!...

— I mnie również nie, panie Jeorling! Ho, ho! Widzisz pan, ten nasz kapitan, choć nie jest rozmownym, ma jednak swoje dobre strony, aby tylko wiedzieć jak z nich korzystać. Gdy więc na razie robił trudności w przewiezieniu pana do Tristan, teraz nie sprzeciwia się zabrać go aż do samego bieguna.

— Ależ tu nie ma wcale mowy o biegunie, Hurliguerly!

— Eh, zobaczy pan, że się jednak na tem skończy...

— Wątpię bardzo, toż wiadomem ci jest przecie, że kapitan ma jedynie na myśli wyspę Tsalal...

— Tak jest, na teraz wyspę Tsalal tylko... — potwierdził marynarz. — Przyznaj pan jednak, że nasz kapitan okazał się bardzo uprzejmym dla pana...

— Zyskał też zupełnie moje uznanie, i wdzięczny mu jestem również jak i tobie Hurliguerly, że za twoim wpływem dostałem się na statek i dojechałem do Tristan...

— I że następnie jedziesz pan dalej jeszcze! — prze-
chwał się stary gaduła...

— Nie wątpię o tem, bosmanie — odpowiedziałem z pe-
wną ironią, w głosie, której wszakże pocziwiec pewno nie
zauważył, bo z wielkiem zadowoleniem począł mi rozpowi-
dać różne szczegóły dotyczące ziem, na które spoglądaliśmy,
siedząc na pokładzie... A znał on je dokładnie, zarówno jak
wszystkie inne wyspy na południowym Atlantyku.

W epoce tej Falklandy nie były jeszcze tak wyzyskane,
jak są obecnie, dopiero bowiem znacznie później poznano
u wyspy Soledad przystań Stanley, ten ważny port dla które-
go geograf francuski Elisée Reclus, nie ma dość słów po-
chwały. Tak bowiem jest dogodnym i tak obszernym, że
całą flotę Wielkiej Brytanii mógłby z łatwością pomieścić.

Gdybym wszakże od dwóch miesięcy jechał z zawiąza-
nymi oczyma, bez świadomości gdzie zmierzam, i stanąwszy
wreszcie u brzegów Falklandu, zapytany był gdzie jestem,
znalazłbym się w rzeczywistym kłopotcie, tak ziemie te skali-
ste, ze stromemi, poszarpanemi brzegami, przypominają pół-
nocną Norwegię. Nawet klimat morski wolny zarówno od
zbyt dokuczliwych mrozów, jak i od wielkich upałów, z gęstą
mgłą opadającą w porze wiosennej i jesienia, a tak silnemi
nierzachrami, że nie oprą się im nawet warzywa na grzędach
ogrodowych, są tu i tam charakterystycznymi cechami.

Tylko roślinność południa różni się od miłej zieloności
drzew iglastych w jakie obfituje Norwegia, o czem przekona-
ła mnie zaraz pierwsza przechadzka po najbliższych okolicach
Port-Egmont. Falklandy nie posiadają drzew żadnych. Skro-
mne zaledwie krzewy wznoszą się nieco nad ziemię, zaścieloną
bujnemi, soczystymi trawami, wśród których ukrywają się, lub
strzelają w górę fiołki, szczawiki, baldayany, azorele, szczo-
drzewica, oraz o czerwonych lub białych łodygach nadzw-
yczaj cenne ziele, którego sok działa zbawiennie w objawach
skorbutu. Na torfiastym zaś, uchylającym się pod nogami
gruncie zielenieją puszyste mchy, niby najpiękniejsze kobier-
ce wschodnie. Wszystko to jednak różnem jest bardzo od
uroczych, tajemniczą jakąś poezją owianych stron, w których
powstały przepiękne legendy Odinów i Walkiry.

W głębokiej cieśninie rozdzielającej obie większe wyspy
Falklandów, rozrastają się do zadziwiających rozmiarów wła-
ściwie jedynie miejscowej flory rośliny wodne, utrzymujące
się na powierzchni za pomocą drobnych, powietrzem napeł-
nionych pęcherzyków, któremi są otoczone.

Brzegi morskie ożywia ruch wielki. Foki, wieloryby, psy,
wilki i cieleta morskie gromadzą się tu w tak niezmierniej
ilości, że połów na nie staje się łatwym dla dziecka nieledwie;
to też gdy niezgrabne ich ciała, spoczywają czasami groma-
dnie na lądzie, rybacy ubijają ich często jednym silnem ude-
rzeniem kija.

Krzyki i krakanie różnego osiadłego tam ptactwa, jak
nurów, kormoranów, łabędzi o czarnych głowach, wreszcie
nieprzeliczonych gromad bezłotków, stały się wprost ogłu-
szającymi.

— Zapewne hodujecie tu wielką ilość osłów? — zapy-
tałem starego marynarza, stojącego w porcie.

— Osłów nie mamy tu wcale, panie, to pinguiny tak
krzyczą.

— Pinguiny! — powtórzyłem — ależ głupim tym pta-
kom udałoby się zwieść, nawet same bodaj osły!...

Tymczasem drobiazgowa rewizya statku wykazała, że
Halbran znajdował się w jaknajlepszym stanie. Tułów jego
nie poniósł najmniejszego uszkodzenia. Pozostawało zatem
jedynie wzmocnić osadę steru, zaostriżyć przedni dziób, by
łatwiej mógł rozbijać młode lody, wreszcie zdwoić miedziane
klamry otaczające wszelkie spojenia, a dające żaglowcowi bez
porównania większe bezpieczeństwo w zetknięciu się z lodow-
cami, aniżeli całkowite nawet okucie blachą.

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

W pierwszych początkach b. m. obchodzono uroczyste
w Lizbonie czterechsetną rocznicę pierwszej wyprawy słynnego
podróżnika Vasco de Gamy, który odkrył drogę morską do Indyi.
W celu odkrycia tej drogi król portugalski, Emanuel, posta-
nowił wysłać wyprawę, złożoną z trzech okrętów, z osadą 160
ludzi, a dowództwo jej powierzył żeglarzowi Vasco de Gamie,
szlachcowi portugalskiemu, urodzonemu w Sines w r. 1469.

W dniu 8-ym lipca 1497-go r., a więc czterysta lat te-
mu, Vasco de Gama rozwinął żagle. Szczęśliwie okrążył
Przylądek Dobrej Nadziei, zwrócił się ku północy wzdłuż
wschodnich wybrzeży Afryki i w marcu 1498-go r. dotarł do
Mozambiku, zamieszkanego wówczas przez Maurów, którzy
prowadzili rozległy handel na morzu Czerwonym i Indyjskim.
Ztąd Vasco de Gama dopłynął do Melindy, gdzie poraz pierw-
szy portugalczyki ujrzeli okręty przybyłe z Indyi.

Z Melidy Gama pod przewodnictwem pewnego indyani-
na z Guseratu, dostał się do Indyi i wylądował na pobrzeżu
malabarskiem. Przyjęty nieprzyjacielsko przez tamtejszego
króla Zamudrina, wkrótce powrócił do Portugalii, wioząc
wieść radosną o swem odkryciu.

Droga do Indyi otwartą więc była do przywożenia bo-
gactw z Europy.

Niedługo Vasco de Gama, obdarzony tytułem admirała
Indyi, pozostał w kraju. Skoro przyszła wieść o wymordo-
waniu przez malabarczyków załogi, którą tam zostawił, wyru-
szy na powtórny wyprawę, prowadząc z sobą 20 okrętów i 800
żołnierzy. Przybywszy na miejsce pobił króla Zamudina
i w r. 1503-cim z 13-tu przeciążonymi łupem okrętami wrócił
do Lizbony, gdzie otrzymał nowy tytuł hrabiego Vidigueira
i wicekróla Indyi.

W trzeciej wyprawie objął rządy swojego wicekrólestwa,
które sprawował jak najlepiej. Umarł w r. 1524-ym w kraju
przez siebie zdobytym; zwłoki jego przewieziono do ojczyzny.

Dzieje tego niepospolitego żeglarza uwiecznił słynny
portugalski poeta, Ludwik Camoens w poemacie pod tytułem:
Luizjada, którego przekładu na język polski dokonał profe-
sor Akademii krakowskiej, Jacek Przybylski, w książce wy-
danej w roku 1790-tym.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron,
w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Walka głowonoga z krabem (z ryc.) — Największa rzeka w Europie. — Panna Marychna z Oporowa przez A. z Ch. Borkow-
ską. — Lato, wiersz (z ryc.) — Zwaliska Bodzentyna (z ryc.) — Sfinks lodowy, przez Juliusza Verne'a, przekład M. D. —
Z dalszego świata. — Dodatek: Piegża (z ryc.) — Jabłuszko, wiersz. — Zabawy letne. — Oleś, Broniś i Winuś. — Łamigłówni
i rozwiązana. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Po za gniazdem przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE

NA POMNIK MICKIEWICZA

do Redakcyi Wieczorów Rodzinnych nadesłali:

Zosia-Kicia i Sewer-Bobuś rs. 2. — Mania Grabińska rs. 1.
— p. Helena jej nauczycielka rs. 2. — Marylka K. z siostrzyczką
z Żytomierza rs. 1. — Bezimiennie kop. 50. — Zosia i Lucio
Obuchowscy rs. 3.

Poprzednio złożono rs. 53 kop. 57. — Razem rs. 63 kop. 57.

Komitet budowy pomnika Mickiewicza

Zapowiedział d. 14 b. m. zamknięcie składek, które doszły już
cyfry rs. 200,000, dostatecznej dla wzniesienia pomnika i zakre-
ślonej przez władzę. Ci więc, którzy się spóźnili z ich nadesłaniem
do naszej Redakcyi, zechcą im dać inne przeznaczenie, lub się po
odbiór zgłosić przy okazji. Do tych należy:

Czajka z Łodzi, która przysłała rs. 1.

Urzędnicy Zarządu miasta Kamieniec Podol. rs. 6.

Jedno z czasopism naszych zalecało w tych czasach zbieranie
funduszu na odnowienie w Zwoleniu kaplicy grobowej Rodziny Ko-
chanowskich, zupełnie zniszczonej, w której mieści się grób poety
naszego Jana z Czarnolasu, pożądanem byłoby zatem użycie na
ten cel zbytecznych już składek na pomnik Mickiewicza.



PIEGŻA.

— Jak mi nudno, jak mi nudno! — wzdycha siedmio-
letni Stefanek — moja Róziu, skończ już raz odrabianie
swych lekcji, to będziemy się bawić. Boże, jaki ja nie-
szczęśliwy!

Lecz Różia, zajęta uczeniem się francuzkich wierszy
ani odpowiada nawet, tylko oparłszy główkę na rączkach,
powtarza:

Je le tiens ce nid de fauvette

Ils sont deux, trois, quatre petits...

— Co to za ptak „fauvette” — zapytuje raptem Ste-
fanek — jak on wygląda, czy można go widzieć i teraz
w zimie?

— Czy ja wiem jak się nazywa — odpowiada Różia —

panna Marta powiedziała, że to „petit oiseau”, ale jak po
polsku, to nie wiem, chyba Wańdzia ci to przetłumaczy.

— A prawda! pójdę na górę do Wańdzi, ona mię na-
 pewno objaśni, i w chwilę później u drzwi małego pokoi-
ku na górze słychać nieśmiałe zapytanie: czy można?
a gdy Wańdzia wejść pozwala, wsuwa się cichutko Ste-
fanek.

Lubi on bardzo odwiedzać siostrę, bo Wańdzia, gdy
nie ma lekcji chętnie z nim gawędzi, to też i dziś, widząc
ją tylko zajętą robotką, prosi:

— Wańdziu! powiedz mi co o ptaszku, co się nazy-
wa „fauvette”.

— Dobrze, mój chłopcze, lecz wpierw podaj mi tę
dużą księgę ze stołu, przystaw sobie krzeselko, usiądź
i słuchaj uważnie...

Raz, dwa, trzy! zaczynamy: oto tu na początku tej
stronicy widzisz małego ptaszka na gałązce bzu, to wła-
śnie piegża czarnogłówka.

Domyślasz się łatwo dla czego ma przydomek czar-
nogłówki, patrz, jaki czarny kapturek pokrywa jej głów-
kę, reszta ciała ma upierzenie brunatno-zielonawe prócz
szyi i brzuszka popielatego. A teraz pokażę ci jajeczka
tego ptaszka, widzisz? te niewielkie, jasno-brązowe z cie-
mnemi, brunatnemi plamkami.

— Jakto te? — pyta Stefanek, rumieniąc się nagle —
to piegża ma takie jajeczka? a jej gniazdko to pewnie
mały koszyczek z mchu i ździebełek trawy suchej, wysła-
ny sierścią plectoną?

— Tak, Stefcu, lecz skąd wiesz o tem, czyś widział
gniazdko takie?

— Widziałem Wańdziu i nawet... — tu chłopczyk
przerywa sobie i spuszcza oczy.

— I co? — nalega Wańdzia.

— I nawet... zabrałem im jedno jajeczko w roku ze-
szłym i czy uwierzysz Wańdziu, ptaszki uciekły, potłukł-
szy resztę jajeczek.

— A tak mimowolnie uczyniłeś im wielką przykrość,
Stefciu, bo piegża, to mądry ptaszek, nie lubi ciekawskich
i zawsze przed nimi ucieka, zostawiając nawet domek
swoj i niszcząc jajeczka. Szkoda, żeś to zrobił, mógłbyś
przypatrzeć się zdaleka, jak te ptaszyny kochają swoje
dzieci, jak im znoszą pożywienie, zbierając skrzętnie ja-
gody porzeczek, bzu czarnego lub szakłaku. A jak one
się cieszą, gdy młode w sierpniu dostaną piórek; wtedy
to tatuś śpiewa radośnie, a synkowie mu pomagają, za-
chwycając mamusię i siostrzyczki, które niestety nie ma-
ją takich głosów.

Trzeba ci wiedzieć, Stefcu, że te ptaszyny ogromnie
się kochają, do końca jesieni nie rozstają się z sobą; ra-
zem udają się na wyćieczki, razem się bawią, razem wre-
szcie odlatują od nas na zimę, by w początkach kwietnia
powitać nas znowu donośnym, urywanym swym śpiewem.
Ptak ten wraz ze swemi krewnymi napelnia ogrody nasze

życiem i śpiewem, a krewnych ma piegża dużo, bo należy do licznej rodziny wróblowatych czyli łuszcaków, wśród której znajdujemy mnóstwo ptaków, począwszy od wróbli, kończąc na ziębach i szczygłach, które znasz dobrze, bom ci je nieraz pokazywała, zresztą widzisz je i tu na obrazku.

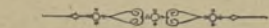
Chwilę jeszcze rodzeństwo oglądało ryciny przedstawiające różne ptaszki, gdy głos donośny Józi, przerwał im to zajęcie, zapraszając na podwieczorek.

— Już podwieczorek? — zawołał Stefan — to mi czas prędko zleciać, ale powiedz mi jeszcze siostrzyczko, skąd ty wiesz o tem wszystkim?

— Z książek i z lekcyi, Stefanku — odpowiada poważnie Wańdzia, a spostrzegłszy niedowierzanie w oczach brata — tak, tak z tych lekcyi od których mali chłopcy nieraz pragnęliby umknąć — dodaje.

No, a teraz marsz na kawę, bo mi się jeść chce porządnie, zobaczymy kto z nas prędszy i oboje rażno zbiegli do stołowego pokoju na podwieczorek.

K. Ślósarska.



JABŁUSZKO.

— Czy to dobre jabłuszko? — pytał Staś Janeczka
— Wyborne — ten odpowie — choć kwaśne troszeczką.
I prędko zjadł jabłuszko, chociaż czuł Janeczek
Że Staś się tak przymawiał mu o kawałeczek.

Usłyszała to Zosia, bo właśnie swe kwiatki
Polewała w ogródku gdzie róże i bratki
Stroją grządki, gdy górą owoc się rumieni
I uśmiechać się zdaje do słońca promieni.

Zerwała Zosia gruszek i jabłek potrosze
Zawołała na Stasia i rzekła mu: — Proszę!...
— Oh, dziękuję — zawołał — lecz po cóż tak wiele?
Ot, pobiegnę do chaty, z rodzeństwem podzielię!

Pobiegł, dzielił z rodzeństwem i było mu milej
Niż gdyby sam pozjadał wszystko w jednej chwili;
A Jaś patrzył z daleka i serce mu biło
I wstydził się, i czegoś mu było nie miło...

M. J.

ZABAWY LETNIE.

III.

Do badań zoologicznych w czasie zabaw letnich będzie także bardzo podatny rak rzeczny. Trzeba go umieścić w miednicy albo dużym słoju, do którego poprzednio nasypuje się piasku i trochę gliny. Żywić go można robakami, glistami, muchami, mięsem surowem, chlebem, marchwią. Rak jada wszystko, choć nie wiele, może także długo żyć bez pokarmu.

Zmieniać często wody też nie ma potrzeby. Ciekawą

jest bardzo rzeczą widzieć, w jaki sposób rak chwytą zdobycz.

Lubi on także na piaszczystym swoim gruncie znaleźć kamienie, pod które chętnie się kryje.

W stawie lub ogrodzie złapać zieloną żabkę i włożyć ją do słoja do połowy napełnionego wodą. Dobrze jest także wstawić w słoje małą drabinkę, albo wysoki kamyk, któryby wystawał z wody. Słoje trzeba przykryć muślinem gdyż żabka łatwo może wyskoczyć. Jako pożywienie trzeba dawać pokarm tylko zwierzęcy: muchy, karaluchy, liszki. A wtedy będziemy mogli się przekonać, w jaki sposób żabka chwytą owady, jak rechoce, jak z ręcznie uczepia się drabinki i t. d.

Bardzo ciekawem stworzeniem do badania jest pijawka, którą znaleźć można w każdym stawie i rowie.

W tym celu trzeba wziąć słoje szeroki a niski, na dno jego położyć gliny i mułu, a z wierzchu zasadzić roślin wodnych. Uskutecznić to można w łatwy sposób: wyrwijając rośliny z rowu z korzeniem i wkładając do słoja. Wkrótce rozkrzewią się tak dobrze, jak w rowie. Na to wszystko nalewa się wody na wysokość ćwierć łokcia.

Całą wiosnę pijawka zostaje w gruncie, a przy końcu czerwca zaczyna snuć kokon, nakształt kulki. Zauważcie dobrze, z czego i w jaki sposób przyrządza ów kokon, jak, po złożeniu jaj ów kokon zalepia.

Po trzech miesiącach wylęgną się małe pijawki.

Przeglądajcie się, jak zmieniają skórę, jak żywią się małymi rybami, robakami i ślimakami. Włóżcie w ten sam słoje pływaka (tylko na krótko, bo pozjadałby wszystkie młode pijawki) a zobaczycie jaką walkę będą toczyć z sobą.

Maryja Weryho.

Oleś, Broniś i Winuś.

(Dalszy ciąg).

W poniedziałek, ze szkoły do domu, znowu razem wracali, Broniś zaczął:

— Ach, jakie smaczne były ciastka, ale miałbym żal do ciebie żeś mię zatrzymał, gdybym ich nie dostał. Jeżelibym się spóźnił o minutę, rozkupiliby, i tak już tylko pięć ciastek dostałem, wyborne były; gdyby nie ten chłopiec!

— Co za chłopiec? — spytał Oleś.

— Od jakiegoś czasu przy cukierni stoi chłopak lat ośmiu czy dziewięciu, nędzny, chudy, blady i tak żałośnie prosi o grosik dla chorej matki. To mi apetyt odbiera.

— I jemu nigdy nic nie dajesz?

— Cóż mam dać? kiedy codziennie mam akurat dziesięć groszy na dwa ciastka. A wczoraj mię rozgniewał; tak żałośnie jęczał, że się zryzykowałem dać mu pół ciastka, coż powiesz? nie wziął: mówiąc, że matka chora tem się nie posili.

— Biedny! biedny chłopak! — zawołał Oleś i ścinawszy się za ręce rozeszli się.

Nazajutrz Oleś ze szkoły wracał koło cukierni, chociaż to była dłuższa droga. Jakoż w miejscu wspomnianym przez Bronisia, znalazł wynędzniałego chłopczyka, żalostną prośbą — o grosik dla chorej matki.

Oleś zatrzymał się przed nim, chłopak skwapliwie wyciągnął wychudłą rękę.

— Nie mam ci nic do dania, mój drogi, ale przyszedłem tu umyślnie, ażeby się z tobą zaznajomić. Jak ci na imię?

— Winuś, paniczu — odrzekł smutnie spuszczac głowę.

— Gdzie twoi rodzice?

— Ojciec umarł, a matka słaba leży, mieszkamy tu blisko i dla niej proszę o wsparcie.

— Dawnoż chora twoja matka?

— O dawno, paniczu. Z jesieni ojciec mój murarz, padł z rusztowania i umarł, matka została ze mną i małą siostrzyczką Anulką. Nie miała żyć z czego, zaczęła chodzić po domach prac bieliznę. W parę miesięcy, nasza Anusia zachorowała na gardło i umarła. Matka z ciężkiego żalu po niej zachorowała. Długo, długo była chora: dobry doktor, niech mu Bóg da zdrowie, dwa razy dziennie odwiedzał ją, często coś przynosząc dla zupełnie nieprzytomnej mamusi. Aż dnia jednego matusz przytomnie się odezwała, popłakała za Anusią i uspokoiła się, a doktor powiedział, że żyć będzie, tylko trzeba ażeby dobry posiłek miała. Ja wówczas wszystko co było w stanie wynosiłem i sprzedawałem, ażeby matce co kupić do jedzenia, bo drwa na opał dawała praczka z tego dziedzińca a pan ze stancyi nie wyprawiał. Nareszcie ostatni stołek wyniosłem i nic się nie zostało, oprócz łóżka na którym matka leży — dodał ze łkaniem: — nic nie zostało! Wtedy ja wyszedłem i stanąłem, prosząc. Jedni mówili, hultaj, nie chce pracować i wyciąga rękę. Gdzież ja mogłem pracować, a ktoby matusi podał szklanek wody? drudzy z żalem patrzyli, aż jakaś służąca dała mi dwa grosze, mówiąc: pracuj lepiej chłopcze, co masz zebrać. Te dwa grosze piekły mię w rękę, płakać zacząłem, lecz to dla matki, stałem więc jeszcze i uzbierałem sześć groszy; skoczyłem, kupiłem dla matki bułeczkę, którą zjadła, dzieląc się ze mną. I tak już schodzi trzeci miesiąc, matusz leży a ja tu stoję i proszę.

— Ileż ci lat Winusiu?

— Jedenaście, paniczu.

Oleś miał oczy łez pełne i dusząc się niemi, wyjąkał: — a ja ci nie mam nic do dania — i odszedł spuściwszy głowę.

Nazajutrz Oleś szedł tą samą drogą. Przywitał się z Winusiem jak ze znajomym i dał mu dwa cukierki. Tę razą Winuś przyjął, mówiąc: — to matusi ulży w kaszlu, dziękuję.

Po lekcjach spotkał się znowu z przyjaciелеm.

— Ach mój Bronisiu, jaki ten Winuś biedny!

— Jaki Winuś?

— A ów chłopiec z pod cukierni.

— A — to on się Winuś nazywa?

— Tak. Jakże ja ci zazdroszczę, że masz pieniądze, co ja bym dał za to ażebym i ja mógł mieć.

— O! wielka trudność, zrób tak jak ja, a codziennie mieć będziesz groszy dziesięć.

— Nie! mnie się zdaje, że ja bym się na to nie mógł zdobyć. Ale nim ja co swego mieć będę, ty się z nim podziel swoimi: codziennie daj mu pięć groszy, krócej będzie musiał stać, prędzej wróci do chorej matki.

— Jak cię kocham, Olesiu, zrobiłbym to, jeżeliby choć trochę większe piekło ciastka, a to takie małe, dwa razy ukąsić i nic niema, jedno zjadłszy to i smaku się nie poczuje, a co im znaczy pięć groszy?

Oleś zamilkł, ale był bardzo smutny, obiadu jeść nie mógł, matka to zauważyła i z troskliwością zaczęła rozpytywać, czy nie jest chorym?

— Nie, mam, ale mam wielkie zmartwienie.

— Jakież to? — z uśmiechem spytała pani Karnicka.

— Koniecznie potrzebuję pieniędzy — rzekł, oczy spuszczac.

— Na cóż to? — spytała matka.

— To mój sekret, mam, nie mogę powiedzieć.

— Koniecznie potrzebujesz pieniędzy?... Wszakże Broniś je ma, może i tybyś chciał ażeby ci płaciła?

Oleś zaczerwienił się, wzdrygnął i drżącym głosem odpowiedział:

— Dobrze, mam, proszę mi płacić dziennie dziesięć groszy.

— Jeżeli się będziesz dobrze uczył, odpowiedziała jakimś dziwnym głosem.

— Tak, mam; ale ja się i do tej pory dobrze uczyłem, jestem drugim uczniem.

— Czy dziś już umiesz lekcję?

— Umie, mam.

Pani Karnicka poszła do biurka, wyjęła owe dziesięć groszy i nie spojrzawszy na syna, wyszła z pokoju.

Oleś schwycił pieniądze i wybiegł, a matka zobaczyła, że poszedł w stronę cukierni.

I to się powtarzało dni kilka.

Pani Karnicka zmartwiona, postanowiła dowiedzieć się co Oleś robi z temi pieniędzmi, chociaż zdawało jej się, że wie na pewno, iż obraca je na ciastka idąc za przykładem łakomego Bronisia, ale chcąc się stanowczo upewnić, dnia jednego w porze, w której Oleś zwykł iść w tamtą stronę, poszła do cukierni i siadła przy oknie, zasłonięta kwiatami. Po chwili usłyszała głos Olesia, mówił:

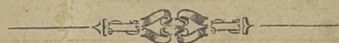
— Masz Winusiu, a jak się ma twoja matka?

— Oj paniczu! mój serdeczny, z twojej łaski lepiej, za dawane przez ciebie pieniądze, matusz ma codziennie bułkę i pół kwarty mleka, tak się tem pokrzepiła, tak posilniała, że dziś już wstała z łóżka. A czy wiesz, paniczu, ten drugi co z wami chodził, który codziennie zachodzi do cukierni, dał mi wczoraj pięć groszy.

Oleś aż podskoczył z radości.

— O poczciwy Broniś! — zawołał.

(d. n.)



ZAGADKA.

przez E. M.

Cichy, pożądany;
W czyje wstąpi ściany,
Rozwesela chaty,
Niesie kłosy, kwiaty.

Nie powiem nikomu,
Czy jest w naszym domu.

ŁAMIGŁÓWKA ZOOLOGICZNA.

ułożyła Litwinka.

1) rząd pion. Ptak z rzędu wróblowatych. 2) Zwierzę australskie z rzędu workowatych. 3) Ryba morska, poławia się w Wiśle. 4) Ptak brodzący. 5) Gatunek mo-

tyła. 6) Mięczaki. 7) Ptak łączący amerykański. 8) Koń afrykański.

Środkowy rząd oznaczony gwiazdkami złoży nazwę ulubionego ptaszka.

NITECZKA ARYADNY.

Głód	wie	trze	wsze	la	kto	by	nie
po	o	i	ka	mu	sta	zgi	wiatr
gień	da	zła	te	ra	nie	roz	mar
wo	przy	dą	oj	mar	mie	cie	nie
go	bę	ców	ra	cie	świe	zgi	ców
da	swo	wia	pro	wszem	nie	oj	swo
ich	dzał	chy	po	kto	ra	ich	wia
wzgar	je	go	by	sta	wgar	dzał	ra

ROZWIĄZANIE DO N-ru 28-go

Zagadki: Z a r a z.

Arytmogryfu:

1) Seres. 2) Tarent. 3) Amur 4) Niagara. 5) Iris. 6) Suez. 7) Łopian. 8) Abruzzo. 9) Wodospad. 10) Mieczysław. 11) Ohio. 12) Namur. 13) Isolani. 14) Ulrych. 15) Sajma. 16) Złotopol. 17) Kruk. 18) Ostryga.

Stanisław Moniuszko Straszny dwór i Halka.

Łamigłówki kropkowej:

Burka — to okrycie,
Lisy — to poszycie,
Dukat — to mi kwiatek,
Miodek — to napitek,
Bigos — to potrawa,
Kulig — to zabawa.

Skrzynka do listów.

Prokopowi w Jarosławiu. Wielcy nawet pisarze w wieku naszego korespondenta nie pisywali do druku dramatów. Z przyjemnością przeczytaliśmy przyslaną nam obecnie pracę, widząc w niej dowód zdolności, mogącej się z czasem rozwinąć przy odpowiednim kształceniu w naukach. Nie będziemy więc powtarzać, dlaczego drukować jej nie możemy, bo niejednokrotnie już wypowiedzieliśmy w Wieczorach zdanie nasze w tym przedmiocie. Inna rzecz zresztą szarady i łamigłówki, które są rodzajem zabawki umysłowej, a inna utwory potrzebujące gruntownego naukowego wykształcenia i znajomości życia, o jakie trudno w młodocianym wieku.

Jadzi G. ze Stanisławowa. Żalujemy bardzo, że próba kaligrafii braciszka przyszła za późno, wszystkie inne już dawno zostały osądzone i nagrodzone. Mamy jednak nadzieję, że na przyszły raz braciszek się pospieszy i na termin nadesłanie nam swoją pracę. Kiedy będą wydrukowane zagadki, powiedzieć nie możemy, bo jedne za drugimi muszą cierpliwie czekać swojej kolei. Świeżo nam przysłana o ile odpowie tylko żądanym warunkom, będzie również wydrukowaną. Początek powieści „Wśród chmur i słońca” z przyjemnością jak najprędzej pošlemy. Listy do Jaskółki adresują się wprost do Redakcji tylko na kopercie u dołu proszę napisać: dla Jaskółki.

Składkę na pomnik Mickiewicza od *Feliksa Bernat.* otrzymaliśmy. Trudno nie szczerzyć słów pochwały temu, który nas obdarza tak ładnie i porządnie pisanymi listami i nie nam, ale własnej jego pracy i staranności, należy się wdzięczność za otrzymaną nagrodę.

Jerzemu H. Przysłane łamigłówki tak są nieporządnie i niewyraźnie napisane, że trudno coś zrozumieć. Na raz następny prosimy o czytelniejsze pismo i porządniejszą ćwiartkę papieru, bo pisanie na brudnej kartce wydartej z kajetu, jest niewłaściwe, gdyż zdaje się być pewnem lekceważeniem osoby, do której jest adresowana.

Dobre rozwiązania zadań i łamigłówek nadesłali: *Motylek* z Wilna, 10-letni *Szaraczek*, *Kazimierz P.*, *Rafał serce prawe*, *Cesia S.* z Końskich, *Julcia B.* i *XX* ze Świdra.

Nadto otrzymaliśmy łamigłówki od *Cesi S.*, *Konwalijski* i *Czajki* z Łodzi, które chętnie pomieścimy, jeżeli tylko okażą się odpowiednie.

Konwalijsce. Ucieszyłam się bardzo, że zdałaś egzamin do drugiej klasy i teraz swobodnie możesz wypocząć, korzystając z czasu wakacyjnego. Łamigłówki złożyłam w Redakcji z prośbą, by je prędko pomieszczono, ale tam prośba moja na nic się nie przyda, bo każdy musi czekać swej kolei. Jaka szkoda, że w tym roku nie wyjeżdżasz na wieś, ja już wkrótce opuszczam Warszawę i wyfruwam na świeże powietrze.

Pomnik Mickiewicza zdaje się, że stanie na skwerze koło kościoła Karmelitów na Krak. Przem.

Przyslaną łamigłóvkę złożyłam w Redakcji. O częste liściki prosimy.

Jaskółka.